



Kryminał z myszką

4

CZARCI

JAR

Detektyw
Rafał
Królik
na
tropie

Antoni
Marczyński

Antoni Marczyński

CZARCI JAR

DETEKTYW RAFAŁ KRÓLIK NA TROPIE

Kryminał z myszką – Tom 4

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-67-0

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

- I. UPIÓR
- II. POLSKI SHERLOCK HOLMES
- III. PRAWDZIWY BALTAZAR
- IV. LISTA PODEJRZANYCH
- V. TAJEMNICZY PODPALACZ
- VI. ŚLEDZTWO
- VII. MILIONER DZIWAK
- VIII. PRIWIM ZABIŁ KRÓLIKA
- IX. NIEPRZEWIDZIANE KOMPLIKACJE
- X. PUŁAPKA
- XI. STARY RÓW STRZELECKI
- XII. PRZYGODY W PODZIEMIACH
- XIII. FOTOGRAFIA DUCHA
- XIV. PODWÓJNY SEKRETARZ?
- XV. ZA PÓŻNO!
- XVI. TOWARZYSZ BRONI
- XVII. WOŁANIE O RATUNEK
- XVIII. WSTRZĄSAJĄCY SEANS
- XIX. STRZAŁ I POCAŁUNEK
- XX. PRZYJAZD SHERLOCKA HOLMESA
- XXI. SPOTKANIE DWÓCH BALTAZARÓW
- XXII. ŻYWCEM POGRZEBANI
- XXIII. WALKA O CNOTE
- XXIV. UCHYLENIE RĄBKA TAJEMNICY
- XXV. STRASZNE OSKARŻENIE
- XXVI. UPIÓR MÓWI
- XXVII. POTWORNA ZASADZKA
- XXVIII. „PŁYNNNE ZŁOTO”
- EPILOG

I. UPIÓR

Nie spała. Nie mogła zasnąć, chociaż zmęczyła ją uczciwie dzisiejsza podróż w nabitym wagonie i trzęsionka na rozklekotanej bryczce, której stare miękkie resory były skrupulatnymi licznikami dla wszelkich wyboi i dziur kiepskiej drogi. Pełną piersią chłonęła wiejskie powietrze, czyste, rześkie, z lekka tylko wonią ostatnich bzów naperfumowane, istny haszysz dla płuc człowieka, który co dopiero z miasta przyjechał, powieki ciążyły, kleiły się same, a sen nie przychodził.

– Do rana pewnie ani oka nie zmruję... przez te bajki – irytowała się. Na wszystkich domowników, lecz najbardziej na siebie. Właśnie dlatego, że nie wierzyła w te bajki. Ha, ha, ha, ha, duch! Gospodyni go widziała dwukrotnie, kucharka nawet miejsce wypowiedziała, ponieważ „straszy” we dworze, żony fernali tylko pod eskortą mężczyzn chciałyby wracać do czworaków po wieczornym udoju, pastuch za żadne skarby nie wyjdzie wieczorem na stryszek nad oborą i tak dalej, i tak dalej, słowem, jakaś epidemia zabobonnego strachu poraziła całą służbę w Borach. No, pięknie, takie epidemie „chodzą po ludziach”, zwłaszcza wsiowych prostaczkach, ale żeby podobne brednie zdołały przepłoszyć sen z oczu młodej dziedziczki, studentki z trzeciego roku? Nie! Świat się kończy!

Ewa Turno przewróciła się na drugi bok z taką energią, że aż sprężyny łóżka jęknęły żałośnie. – Nonsens – warknęła odrzucając puchową kołdrę – nie mogę zasnąć, bo za gorąco.

Ogarnął ją nagle niepohamowany gniew. Zgodne zeznania całej służby i fakty tak niepokojące, jak na przykład tajemnicze wytrucie wszystkich psów na folwarku w ciągu ostatniego półrocza, utwierdziły ją jeszcze z wieczora w przekonaniu, że nie ma się tu do czynienia z halucynacjami, z przywidzeniami, z masową sugestią, lecz po prostu z psim figłem jakiegoś łajdaka, który przebiera się od czasu do czasu za owego „ducha” i tymi występami terroryzuje domowników...

– Ale nie mnie! Ja tej psychozie nie ulegnę! – zaperzyła się. – Ja cię zdemaskuję, drabie jeden i udowodnię tym osł...

Umilkła w pół słowa. Zamieniła się w słuch. – Jak gdyby ktoś drzwi z klucza odmykał – przemknęło jej przez myśl.

Przywidzenie? Skinęła głową skwapliwie, że tak.

– Przywidzenie, oczywiście – wmawiała w siebie. Przywidzeniem był także przeciąg, który zafalował firankami i przyniósł do sypialni zapach farby z świeżo malowanego saloniku, przywidzeniem nazwała kilkakrotne skrzypnięcia parkietowej posadzki i inne szmery, wyolbrzymione ciszą nocną, czy fatalną „psychozą”, której nie chciała ulec ani rusz, lecz uległa z wolna. Nadśluchiwała dalej z sercem bijącym coraz szybciej.

Coś zgrzytnęło zardzewiałym głosem. Zakrztusiło się, zachłysnęło i niski, dźwięczny ton zawibrował w powietrzu... Znowu... i znowu.

Odetchnęła. To wielki szafkowy zegar w jadalni. Z uczuciem ulgi liczyła jego uderzenia. Dwanaście naliczyła, więc była zaledwie północ.

– Dopiero? – zdziwiła się nieprzyjemnie. Nie bała się niby to, a jednak wolałaby, żeby już dniało. W głębi serca żałowała nawet, że nie zamknęła się w sypialni, jak radziła „kuchnia”, lecz, dla podkreślenia swojej brawury, poleciła pootwierać na oścież wszystkie wewnętrzne drzwi pomiędzy tymi pustymi pokojami. Nie byłaby się teraz denerwowała owymi szmerami, skrzypnięciami, które z miejsca na rachunek źle położonych parkietów zaliczyła. – Jest na to rada – pomyślała. Przeprosiła się z kołdrą, nasunęła ją sobie aż na głowę i zwinęła się w kłębek. – Jeśli teraz nie zasnę, to już chyba w ogóle nie zasnę tej nocy.

Zanosiło się stanowczo na tę drugą możliwość. Bo w ciasnym tunelu pod kołdrą zrobiło się Ewie od razu bardzo gorąco, duszno, a jakiś niewytłumaczony lęk, czy przecucie nie pozwalały wytknąć głowę na zewnątrz.

Jak długo tak leżała nie potrafiłaby określić. Zresztą było to nic nie znaczącą okolicznością wobec tego co nastąpiło teraz.

Nagle zdrętwiała.

Coś upadło ciężko na jej stulone stopy. Co? Jakby szpony jakieś. Wczepiły się w dolną krawędź kołdry, szarpnęły leciutko, jak gdyby na próbę, potem zaczęły ją zdzierać powolutku ale nieustępliwie. Odczuła to, kiedy w samoobronnym skurczu dłoni chciała przytrzymać tę kołdrę, będącą jej jedyną tarczą, jedyną zasłoną przed nieznaną zgrozą.

Z okrzykiem przerażenia usiadła na łóżku. Skamieniała. Wrzask zamarł jej w krtani i z otwartymi ustami, bez tchu, spoglądała wybałuszonymi oczyma na straszliwą zjawę.

Widmo miało kształt ludzki, strój również, mianowicie długi do ziemi szynel żołnierza rosyjskiego, lecz wzrostem przerastało przeciętnego śmiertelnika o dobre trzy głowy. Szczególnie niesamowicie wyglądała jego żyrafia szyja i osadzony na niej olbrzymi łeb, nakryty futrzaną czapką, oraz głęboko wpadnięte ślepie, żarzące się zielonkawym ogniem.

Ewa Turno przychodziła do siebie niespodziewanie szybko. Nieruchoma beczyność upióra ośmieliła ją, pozwoliła zebrać zdrętwiałe, rozpierzchłe myśli: Że duchy ukazują się tylko histeryczkom lub ciemnym, zabobonnym nieukom. Że ten potwór nie jest wprawdzie wytworem jej rozgorączkowanej wyobraźni, że stoi „jak drut” za jej łóżkiem, ale też nie jest jakimś tam duchem, tylko beczelnym opryskiem, który dla niewiadomych celów urządza sobie takie maskarady. Że jego zuchwalstwo przebrało wszelką miarę, skoro próbuje sterroryzować ją, wykształconą dziewczynę i prawną dziedziczkę Borów, skoro powążył się wtargnąć nocą do jej sypialni. Że to należy ukarać przykładowo. Że ona ma pod poduszką stary, ojcowski rewolwer. Że w końcu trzeba się tylko zdobyć na pewien wysiłek woli i mocnym epilogiem zakończyć tę błazeńską farsę. – Trzeba to zrobić dyskretnie, niepostrzeżenie – upominała się w myśli, i już drżąca ze wzruszenia dłoń skradała się po prześcieradle, w tył poza plecy, pod poduszkę. Chłodne żelazo rewolweru wpłynęło zbawiennie na nerwy, palce objęły z ufnością chropowatą rączkę, kciuk odepchnął bezpiecznik, a wskazujący palec spłynął z lufy na twardy cyngiel. Błyskawicznym ruchem wyrwała Ewa broń, wyciągnęła ją przed siebie i wrzasnęła, co tchu w płucach:

– Ręce do góry, łotrze!

Upiór ani drgnął. Albo kpił sobie z rewolweru, albo nieoczekiwane przyjęcie przygwoździło go do podłogi.

Upłynęło kilka sekund, może minut. Ewie zdawało się, że godzin. Nic.

Wtem... Paszcza upióra kłapnęła, rozwarła się, ukazując długie obnażone aż do szczęk kły, za nimi czeluść zda się bezdenną, z której trysnęła smuga seledynowego światła, i szyderyczy chichot rozległ się w sypialni.

Nerwy odmówiły posłuszeństwa dziewczynie. Instynktowny odruch zgiał palec na cynglu leżący, lewa powieka spadła sama, przelotne spojrzenie prawego oka umiejscowiło muszkę lufy na tle fosforyzującej paszczy.

– Giń!... Przepadnij!...

Huk wystrzału zagłuszył stłumiony charkot dalszych słów.

Nic! Żadnego efektu. Upiór stał jak przedtem, stał kilka sekund, potem szybko podciągnął w górę kołdrę, jak gdyby się chciał nią zasłonić przed dalszymi strzałami lub jakby ją chciał Ewie zarzucić na głowę! To drugie wydało się jej prawdopodobniejsze jeżeli w ogóle jeszcze mogła myśleć i przewidywać zamiary niesamowitego przeciwnika.

Wszystko liczyło się na sekundy. Nie przebrzmiało jeszcze echo pierwszego wystrzału, gdy muszka rozdygotanego rewolweru, zakryła pół czarciego ślepie. Lewego. Naciskając powtórnie cyngiel zdawała sobie Ewa dokładnie sprawę, że mierzy w lewe oko widma.

– Trachchh!... Drrrrriń.

Z brzękiem spadły na podłogę kawałki szyby. To z jednego z portretów rodzinnych, jakie wisiały w sypialni.

A upiór stał nieporuszony!

Ewie wydawało się, że oszalała. Jak to? Kule przechodzą na wylot przez tego draba, tłuką szkło wiszących za nim portretów, a jemu żadnej krzywdy nie czynią? Więc może to naprawdę jakaś zjawą, jakiś przybysz z tamtego świata? Nie! Nonsens! To przeczy zdrowemu rozsądkowi, to absurd! A czy to nie przeczy rozsądkowi, że zwyczajny śmiertelnik, po dwóch celnych strzałach oddanych z takiej bliskości stoi nietknięty? I jeszcze gotuje się do ataku?!

Jakby przez mgłę dojrzała zbliżającą się do niej mordę upióra, ziejące trupim światłem ślepie i szpony wyciągnięte po rewolwer.

Chciała uciekać. – Byle do okna – huczało jej w głowie. – Wskoczyć do ogrodu, biec do czworaków, do ludzi, dokądkolwiek, tylko stąd uciekać, uciekaaaa!

Szarpnęła się, zeskoczyła z łóżka, lecz jedna noga omotała się jej w prześcieradło. – Chwycił mnie za nogę, nie ujdę – zdołała pomyśleć w ostatnim przeblysku świadomości i runęła bez zmysłów niemal u stóp upióra.

II. POLSKI SHERLOCK HOLMES

Reporter Rafał Królik miał kociokwik. Podwójny! To jest zwyczajny w następstwie wczorajszej libacji, i moralny z powodu głupiej afery z posłem S. Na skutek tej afery ośmieszył się w Warszawie tak, że nie można dokładniej, czego konsekwencją było, iż wyleciał z posady w „Kurierze”. To znowu spowodowało konieczność zalania robaka i dzisiejszy kociokwik, ten zwyczajny. Tak więc wszystkie te fakty były jakoby paciorkami w różańcu wzorowego związku przyczynowego, wszystkie zazębiały się wzajemnie z idealną, a z punktu widzenia Rafała, nader przykrą logicznością.

Sprawa będąca praprzyczyną terażniejszych zmartwień Rafała Królika, przedstawiała się w streszczeniu następująco:

Mniej więcej przed tygodniem poseł S. doniósł policji, że usiłowano dokonać włamania do jego willi, że opryszek wtargnął nawet na pierwsze piętro, lecz zbiegł spłoszony przez kogoś. Był to być może, zwyczajny złodziejaszek, którego skusiło, by skorzystać z drewnianego rusztowania murarzy odnawiających willę z zewnątrz, i ściągnąć, co wpadnie pod rękę, lecz prasa stronnictwa posła S. zrobiła z tego aferę polityczną, że posłowi się odgrażano, że przechowywał w mieszkaniu dokumenty, kompromitujące przeciwników, że różne zamachy i napady weszły znowu w modę itd., itd. Sprawcy jednak nie wykryto, a świeższe sensacje przygłuszyły tamtą sprawę.

Aż w sobotę dnia 31 maja reporter Królik przybiegł do swojej redakcji z nie lada nowiną, że afera posła S. ma podkład nie tyle polityczny, ile erotyczny. Że w każdą sobotę kiedy poseł wyjeżdża do swojego okręgu wyborczego, jego uroczą małżonka gości w willi swego wielbiciela, że on to właśnie zmykał po rusztowaniu, zaskoczony niespodziewanym przyjazdem posła, że wiarygodne osoby mieszkające naprzeciw willi, widziały na własne oczy to i owo, że owym wielbicielem pani posłowej jest pan O., znany sportsmen warszawski, że tenże sportsmen werandował kiedyś z rana na balkonie willi w zielonej piżamie, że cała ulica o tym gada itd.

Miało to wszystko pójść w niedzielnym numerze „Kuriera” z wielce pikantnymi nagłówkami, aliści naczelny redaktor, mający jakieś osobiste porachunki z posłem, polecił „sensację Królika” puścić już w sobotnim numerze wieczornym, a jeden egzemplarz, mocno pozakreślany, gdzie trzeba, miał sprytny goniec redakcyjny wcisnąć posłowi na dworcu, kiedy, jak w każdą sobotę będzie wyjeżdżał na prowincję.

O tym zarządzeniu Rafał Królik na swoje nieszczęście nic nie wiedział, bowiem z racji angielskiej soboty, wcześniej wyviał z redakcji. I jakieś licho skusiło go, by zakraść się do willi w nadziei, że osobiście podpatrzy więcej niż u plotkarek ulicznych, czyli sąsiadek,

nazbierał. Bo pamiętał, że to sobota, że poseł wyjedzie, a tamten przyjdzie nieomylnie, tak twierdziły bajczarki. Tylko przeliczył się z siłami. Co potrafił wygimnastykowany sportowiec tego przeciętny reporter nie dokaże. Krótko mówiąc, Rafał Królik spadł z rusztowania, wleciał w koryto z wapnem, skąd „ekshumowany” przez energicznego dozorcę został zawleczony przed oblicze pani posłowej. – Chciałem zrobić wywiad z panią – wybełkotał, przedkładając swoją legitymację dziennikarską, a to naiwne łgarstwo poślaskotało tak skutecznie niewieścią próżność, że wbrew swemu przewidywaniu, doznał Rafał najmilszego przyjęcia.

– W tym ubraniu nie może pan wyjść na ulicę – rzekła czarująca gospodyni. – Proszę podać adres, napisać odpowiednie polecenie dla swojej służącej, a Jan przyniesie panu inny garnitur.

– Ano pewnie. Ja chętnie, jak się da, to się zrobi – dodał zachęcająco ów Jan, czyli dozorca; wykonał też mimowolnie wymowny ruch palcami.

Rafał Królik oderwał przemocą wzrok, utkwiony w maleńkie pantofelki. Z determinacją proletariusza, wstydzającego się swojej nędzy, lecz zdemaskowanego w końcu, odparł, patrząc uroczej blondynce w oczy wyzywająco:

– Nie mam ani służącej, ani drugiego ubrania.

– Golec – warknął nieprzyjaźnie dozorca, lecz posłowa odprawiła go natychmiast, a wezwała pokojówkę i dała jej jakieś zlecenie.

Potem wszystko było pięknym snem. Pokojówka zabrała ubabrane w wapnie ubranie do wyczyszczenia, a Rafał w zielonej piżamie gospodarza powędrował do buduaru, aby zrobić ów wywiad. Wywiad nie na sucho bynajmniej, lecz z koniakiem, herbatą, ciastkami, „specjalnymi egipskimi”, i z tak pociągającymi spojrzeniami gościnniej blondynki, że Rafał liczył już na najsympatyczniejszy deser. Ale piękne sny trwają krótko.

Poseł S. wsiadał właśnie do wagonu, gdy jakiś urwis wcisnął mu w rękę dziennik i zwiął. Żachnął się poseł na widok „Kuriera”. I zawył. Zapomniawszy o walizce, wypadł z dworca, wskoczył w taksówkę i kazał się wieźć co prędzej do... mieszkania prezesa swojego klubu sejmowego. Uważał, że wymaga tego karność partyjna i subordynacja wobec naczelnych władz stronnictwa. Kiedy pouczony, oświecony i wściekły zajechał na swoją ulicę, zastał tam już olbrzymie tłumy. Siaki taki warszawiak, nie spieszący się do domu z reguły, a co dopiero w sobotę, wołał nadłożyć drogi, byle z ciekawości zerknąć na willę popularnego polityka, w której to willi miały się dziać tak niesłychane zberezeństwa.

Na nieszczęście poseł S. mało zajmował się sportem, inaczej byłby znał choćby z reprodukcji potężną sylwetkę pana O. i odgadłby także, iż ten maleńki chuderlawy człeczyna plątający się w przydługiej piżamie, nie może być słynnym sportowcem. W taki to sposób Rafał Królik zebrał straszliwe lanie, przynależne sportsmenowi, wyleciał w piżamie jak z procy na ulicę w gęsty tłum, gdzie cnotliwe babiny, stojące zawsze w obronie rozbijanego stadła małżeńskiego, sprawiły mu poprawiny. Na próżno zaklinał się, że to nie on, że przeciwnie, on był tym, który zdemaskował to „bagnó zepsucia”, jak sam napisał w „Kurierze”. Nic nie pomogło, bowiem świadczyła przeciwko niemu fatalna zielona piżama i wcale niedwuznaczna eksmisja z willi i w ogóle wszystko.

W poniedziałek otrzymał Rafał z redakcji taki „pasztet”:

„Przychylając się do prośby Pana z dnia 20 lutego o miesięczny urlop wypoczynkowy, udzielam Mu z dniem dzisiejszym urlopu bezterminowego i oczywiście bezpłatnego. Po pobory za miesiąc czerwiec zechce się Pan zgłosić do naszej kasy, gdzie otrzyma Pan również swoje dokumenty i świadectwa”.

We wtorek dozorca z willi posła S. odniósł mu ubranie, z grubsza już wyczyszczone, ale nie odprasowane. Środę zajęło prasowanie oraz pertraktacje z krawcem, który dla zaspokojenia jakichś swych zadawnionych pretensji, usiłował wyzyskać przymusowe położenie klienta. W czwartek podjął Rafał w kasie „Kuriera” swoją ostatnią pensję, której

osiemdziesiąt procent pochłoneła pożegnalna bibka z kolegami, rodzona matka owych kociokwików. Za to w piątek puchlina na twarzy okłęsa tak dalece, że zdecydował się na spacer do Saskiego Ogrodu po natchnienie. Należało bądź co bądź zastanowić się, co począć dalej i jak się ustosunkować wobec faktu, że wypowiedzenie z „Kuriera” powiększyło o jedną osobę kadry bezrobotnych.

W pewnej chwili, przechodził właśnie ulicą Marszałkowską, przystanął, by w najbliższej bramie zapalić papierosa, gdyż rzeński wietrzyk zgasił mu kolejno kilka zapalek, zaciągnął się z rozkoszą, mimowolnie zadarł głowę i wzrok jego padł na blaszaną tabliczkę z napisem:

BALTAZAR SZAFRAN
Detektyw prywatny
Dyskrecja. Ceny umiarkowane

Rafał Królik spoglądał jak urzeczony, po czym, całkiem bezwiednie pochylił z szacunkiem głowę przed nazwiskiem, które tylokrotnie było na ustach wszystkich. Więc to tutaj? Tutaj mieszka polski Sherlock Holmes?!

Nagle podskoczył w miejscu, podrzucony niespodziewaną myślą, która się błyskawicznie przeobraziła w zamiar zuchwały: – Zrobić z nim wywiad! Tego już z rok nie było, a ileż to dramatów, zagadek, tajemnic, zaprzętało w ciągu roku, genialny umysł wielkiego Baltazara?

Ostygł w nim ten ogień zapału szybciej niż zaplanował. Za późno! Trzeba było o tym pomyśleć choćby z tydzień temu. Ostatnia sobota, fatalna, przeklęta, przekreśliła od jednego zamachu reporterską karierę. Wydało mu się równie nieprawdopodobnym, by taki Szafran nie czytał o arcygłupiej wyspie Rafała Królika, jak i to, by po tym co zaszło chciał udzielić wywiadu ośmieszonemu, skompromitowanemu reporterowi... – A taki wywiad postawiłby mnie znów na nogi. Miałbym z czym przyjść do której bądź redakcji – rozmyślał Rafał melancholijnie.

Przydługie medytacje pod szyldem znakomitego detektywa nie przypadły do gustu panu dozorczy. Z przejmnością cechującą większość stróżów warszawskich, rozpoczął indygnacje w te lotne słowa: – Kogo uważa? Zgubił coś, czy chciałby coś nawalić, he?

Rafał już się odwrócił na pięcie, już zamierzał odmaszerować na ulicę, kiedy jakieś natchnienie kazało mu wejść w bliższy kontakt z kamienicznym cerberem, i poświęcić na ten cel pięćdziesiąt groszy.

– Pan Szafran? Ano, pewnie jest. W Warszawie na pewno, samem mu walizy z taksówki przyniósł dzisiaj.

Okazało się, że Baltazar Szafran był z górą tydzień nieobecny i dopiero dzisiaj powrócił. – Więc może nie czytał jeszcze o mnie – ucieszył się Rafał i już pędził schodami na trzecie piętro.

Dopiero po piątym dzwonku rozległy się w mieszkaniu wielkiego detektywa jakieś niedźwiedzie pomruki, ociężałe człapanie butami i mocno zaspane indywiduum uchyliło drzwi na stopę. – Pan wróci za godzinę – rzekło, zanim reporter zdążył usta otworzyć.

– Nie szkodzi. Chętnie poczekam – brzmiała odpowiedź.

Wydając wciąż nieprzyjemne pomruki indywiduum wpuściło Rafała do długiego, ponurego przedpokoju, a stąd do małego saloniku, będącego snadź poczekalnią, i zniknęło, poziewając serdecznie.

Poczekalnia wyglądała jak przeciętna poczekalnia u początkującego adwokata lub mało wziętego dentysty, niemniej jednak Rafał Królik, uniesiony zapalem wyjął swój duży notes i pisał w formie wstępu:

„Już w poczekalni umeblowanej z gustem bezcennymi antykami, ogarnia wchodzącego atmosfera sali rozpraw. Nic dziwnego, zaiste. Oto tam, poza tą ścianą pracuje Człowiek, który czyta w sercach, jak w otwartej księdze. I choć niewidzialny na razie, spogląda na ciebie stalowymi oczyma, przenika cię, na wylot, ach, czujesz to, i jakiś lęk cię ogarnia”.

Ściśle biorąc, czuł reporter tylko zapach stęchlizny, widomy znak lenistwa lokaja, któremu chroniczna śpiączka nie pozwalała wywietrzyć poczekalni. Wzmiankę o antykach miał Baltazar zawdzięczać staremu fotelowi, którego trzy lub cztery sprężyny wychylały kokieteryjnie czubki z rozdartego obicia.

Tak upłynęło dziesięć minut w kontemplacyjnym skupieniu. Następnie oglądając upstrzone brunatnymi plamami fotografie na ścianach, dotarł reporter do bocznych drzwi i stwierdził iż są tylko przymknięte. Zelektrykowało go to odkrycie. Bez wahania pchnął skrzydło drzwi, i jak zahipnotyzowany przez czaszkę stojącą na biurku, wkroczył do pracowni detektywa. – Tu! – wyszeptał z przejęciem. Więcej nie mógł wykrztusić.

Jak się to właśnie stało, z tego Rafał Królik nawet później nie umiał sobie zdać sprawy. Dość, że kiedy z zachwytem oglądał kolekcję kastetów, noży, kajdanków oraz istny arsenał przedpotopowych rewolwerów, rozwieszonych na tylnej ścianie tego sanktuarium, posłyszał lekkie trzaśnięcie drzwiami. Ktoś wszedł do poczekalni!

Reporter ścierpł na myśl, że może to detektyw, że zastanie go tutaj i że wywiad zakończy się podobnie, jak w willi posła S. Co rzec, jak wytłumaczyć zuchwałe wtargnięcie do pracowni? Na próżno szukał odpowiedzi na to pytanie. – Idę na przeciw memu przeznaczeniu – mrucał z tragicznym patosem, ciągnąc za sobą ołowiane nogi. W progu sił mu zabrakło, oparł się całym ciężarem o skrzydło drzwi i wraz z nimi wjechał do poczekalni.

– Ach! Mistrz jest! Jakże się cieszę! Pański służący powiedział mi, że będę musiała czekać dobre pół godziny. Tymczasem...

Rafał Królik stał oparty o futrynę i osłupiałym wzrokiem spoglądał na młodą, ładną brunetkę, która paplała jakieś komplementy i z wyciągniętą dłonią szła szybko ku niemu.

– Niech mi będzie wolno uścisnąć tę rękę, która... która... – Panienska zacięła się przy „która” ale nie zmieszało jej to wcale. Machnęła rezolutnie rączką, zachichotała srebrzyście, podeszła tak blisko, że Rafał, chcąc nie chcąc, musiał się cofnąć do gabinetu, po czym zamknęła za sobą drzwi skrupulatnie. – Sądzę, że tu nikt nie będzie podsłuchiwał.

– Ależ... ależ proszę pani... zachodzi tu... – bąknął przerażony.

– Rozumiem pana, mistrzu – przerwała szybko. – Odpoczywał pan po trudach swego ciężkiego zawodu. Pański służący powiedział wyraźnie, że będzie pan przyjmował dopiero o jedenastej, to jest za pół godziny... Tak, lecz stało się. Moja sprawa jest tak zagadkowa i nie cierpiąca zwłoki, że musi pan zrobić dla mnie wyjątek. Dobrze? Zrobi pan?

– Czy zrobię? – jęknął Rafał, podbity zupełnie czarującym spojrzeniem tych żywych oczu. – Ja najchętniej ale...

– Dziękuję mistrzu. Serdecznie dziękuję – wtrąciła, rozpoczynając znów energiczny pochód, na skutek czego Rafał musiał rejterować w stronę biurka. Biurka Baltazara Szafrana! Ach, cudne oczęta patrzące z takim nabożeństwem na rzekomego detektywa! Jak karcąco, a może nawet pogardliwie zmierzają go te oczy, skoro wyjaśni nieporozumienie. Jednak należy je wyjaśnić bezzwłocznie zaraz, natychmiast! – Dlaczego natychmiast? – zadał sobie w myśli pytanie, i nagle duch przekory, jakiego nosił w swej niepokornej powłoce cielesnej podszeptał mu urwisowski pomysł, by nie demaskować się przedwcześnie, grać, jak się da najdłużej narzuconą rolę i wybadać, z jaką to wielce zagadkową tajemniczą sprawą przybyła do wielkiego Baltazara Szafrana taka ładna, młoda dziewczyna. – Kto wie, czy z tego nie będzie lepsza sensacja niż z wywiadu z imć Baltazarem – pomyślał, a ta perspektywa rozproszyła ostatnie skrupuły.

– Nazywam się Ewa Turno – rzekła przybyła, siadając w głębokim fotelu, ustawionym po drugiej stronie ogromnego biurka. – A pan jest tym przesławnym pogromcą zbrodniarzy, naszą chlubą, naszym Sherlock Holmesem – dodała, ot, aby jakoś nawiązać rozmowę.

– Tak mnie zwą ogólnie – potwierdził reporter ze skromnością, zajmując „swoje” miejsce za biurkiem. – Jam jest Baltazar Szafran – dorzucił, wyciągając rękę do uścisku. To przedstawianie się było całkiem zbyteczne, ale skorciło Rafała, by choć na kilka sekund przytrzymać w dłoni te smukłe, śniade paluszki.

III. PRAWDZIWIY BALTAZAR

Przy biurku, w obliczu szczerzącej zęby czaszki i równie grobowej miny Rafała, drżącego w duchu, by prawdziwy detektyw nie wrócił zbyt wcześnie, opuściła dziewczynę dotychczasowa swada i pewność siebie.

– Może pan teraz nie ma czasu? – spytała nieśmiało. Jęła też zaraz gorąco przepraszać, iż była tak natarczywa do tej pory.

– Istotnie, niezbyt wiele mam czasu – skinął głową poważnie. Położył przed sobą swój nikłowy zegarek i obwieścił z brwią zmarszczoną: – Mogę pani poświęcić najwyżej dwadzieścia minut. Potem mam ważną konferencję z ministrem sprawiedliwości. Proszę zatem mówić zwięźle, krótko, treściwie. O cóż właściwie chodzi?

– O ducha, mistrzu!

– O duuu... duchaaa??? – spytał przeciągle rozczarowany tą odpowiedzią, ale dalsze słowa Ewy, która bardzo treściwie opowiedziała przebieg niesamowitej sceny nocnej, jaką przeżyła, usposobiły Rafała przychylniej. Zauważył też z odcieniem dumy: – Nie chwałac się, proszę pani, „duchy” w kryminalistyce to moja specjalność. Tak, nie jednego już „zmaterializowało”, he, he, he, a upiór z Borów powiększył tę kolekcję oczywiście. Ja w tym, he, he, he... A teraz prrr...

Urwał. Umilkł. Zzieleniał z przestachu, bowiem w momencie, kiedy chciał spytać panienkę o bliższe szczegóły, zadzwieczał telefon na biurku. Rafał namyślił się tylko sekundę, ale w ciągu niej przeżył rok. Co teraz? Śpioch–lokaj który nie troszczył się o osoby wprowadzane do poczekalni i znów drzemał zapewne, nie zignoruje chyba telefonu i... wsypa, kłapa generalna! – dopowiedział reporter w myśli. – Nie. Jeszcze nie! – zbuntował się nagle i szybkim, błyskawicznym ruchem zerwał słuchawkę z widełek. – Kto mówi? – spytał cichuteńko, zerkając trwożąco ku drzwiom od korytarza. – Tak, to ja – dodał, kiedy rozmówca, nie wymieniając swego nazwiska, zapytał, czy ma przyjemność z Baltazarem Szafranem. Chciałbym tylko nawzajem wiedzieć z kim ja mam honor.

Brawurował już teraz, czując na sobie rozmodlony wzrok młodej brunetki, wpatrzonyj w „mistrza” jak w tęczę.

I skamieniał od zgrzyoty. Petentem zgłaszającym się telefonicznie do słynnego detektywa był nie kto inny, tylko świeży „znajomy” reportera Rafała Królika, poseł S.! – Czytał pan zapewne o tej haniebnej prowokacji moich przeciwników politycznych, co? Czytał pan? – dopytywał poseł niecierpliwie.

– Czytaaałem, ooowszem – wyjąknął Rafał, po czym gwałtownie zakasłał, aby zatrzeć wrażenie jego tak niemęsko brzmiącej odpowiedzi.

– Nie sądzi pan chyba, że moją żonę łączyło coś z tym głupkowskim reporterkiem. Tego matofka podstawiono umyślnie, bo trudno było zapewne znaleźć w Warszawie większego tchórza, idiotę, kabotyńca, cymbała...

– Panie! – przerwał Rafał groźnie – czego pan chce jeszcze ode mnie właściwie?

– Chcę aby pan, panie Szafran, wyjaśnił tę sprawę, i w tym celu za chwilę wpadnę do pana. Omówimy ustnie wspólny plan działania. Musimy ustalić czym narzędziem był ten mizerny Zając...

– Jaki zając?

– Królik, chciałem powiedzieć, to wszystko jedno zresztą.

Teraz poniosło Rafała. Nie chcąc się zdemaskować wobec Ewy, musiał rad nie rad wysłuchać litanii wyzwick, miotanych na głowę niefortunnego reportera Królika, ale rodowe nazwisko było jego piętą achillesową; tu kpin nie znosił. A przy tym uświadomił sobie, że groźny w spotkaniu poseł S. nie jest groźnym przez telefon i można mu teraz nawymyślać co wlezie, rewanzując się za przesławne lanie sobotnie, które jeszcze czuł w kościach.

– Cóż pan sobie myśli, że ja nie mam ważniejszych zajęć, że będę mój bezcenny czas tracił dla takiego tam patentowanego rogarza?! – huknął, zapominając o wszelkiej ostrożności. Ulewa bardziej soczystych epitetów niż te, jakich używa wielu naszych polityków, lunęła w mikrofon ku zdumieniu Ewy, a zupełnym osłupieniu zaskoczonego posła. I upłynęło długich minut pięć albo więcej, zanim wytrwały parlamentarzysta odzyskał mowę:

– Pan oszalał, panie Szafran, albo jest pan nietrzeźwy – wycharczał – żałuję, że nie stoję na długość ręki od pana.

– Ja także żałuję – pinił się Rafał i porwał w dłoń czaszkę, jak gdyby chciał tym pociskiem grzmotnąć w niewidzialnego przeciwnika.

– Ale tego płazem nie puszcze – groził poseł. – Moi sekundanci stwierdzą, czy jest pan, w co wątpię, zdolny do udzielenia dżentelmenowi satysfakcji, czy raczej należy pana kazać obić kijem po...

– Milcz, draniu, brutalu!... Krwią mi zapłacisz za zniewagę! A teraz precz!...

Rafał Królik cisnął z pasją słuchawką na widełki, lecz zdjął ją natychmiast i położył na biurku. – Wolę wyłączyć telefon, aby nam znowu jakiś dureń nie przeszkodził – rzekł wyjaśniająco w stronę Ewy i przeprosił ją uprzejmie, iż była świadkiem takiej przykrej rozmowy. Potem zamilkł, zagłębił się w wygodnym fotelu, rozmyślając jak zakończyć tę farsę, odegraną w znacznej części kosztem tej pięknej dziewczyny. Ach, żeby nie to! Wzięłyby nogi za pas, wszak upłynęło już z pół godziny od chwili kiedy przestąpił progi mieszkania Baltazara Szafrana i groźny gospodarz mógł się tu zjawić lada moment.

– Wie pani co? – rzekł po namyśle. – Może dokończymy rozmowy na ulicy. Zdenerwowałem się trochę, a nic tak nie uspokaja człowieka jak spacer na świeżym powietrzu. Dobrze?

– Dobrze, proszę pana – jakie to straszne, mistrzu, mieć tylu wrogów, co pan – dodała ni w pięć ni w dziewięć, zerkając znacząco w stronę kolekcji narzędzi morderczych na tylnej ścianie gabinetu. – Czy wziął pan jakąś broń z sobą? Nie? – przeraziła się widząc niecierpliwą lekceważący gest Rafała... – Och proszę się nie narażać, mistrzu! Niech pan zabierze coś z tego. Koniecznie mistrzu. Ja proszę, błagam!...

Aby nie przedłużać pobytu w siedzibie wielkiego detektywa, usłuchał, podbiegł do „arsenału”, pochwylił pierwszy ogromny rewolwer i wsunął go sobie do kieszeni. – Żeby tylko moje stare szelki wytrzymały – zaniepokoił się, poczuwszy ciężar tej kolubryny. Nie mógł jej jednak odrzucić, gdyż rozmodlone oczy dziewczyny nie wypuściły go ani na moment z słodkich kleszczy spojrzeń. Razem wyszli do poczekalni, a stąd do długiego przedpokoju.

– Rany boskie – jęknął Rafał w duchu. Bo oto posłyszał chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych, a trzy sekundy później w progu, zagradzając drogę uciekinierom, stanął wysoki chudy mężczyzna w raglanie, w cyklistówce nasuniętej na czoło, z fajeczką w zębach, krótko mówiąc: idealny duplikat legendarnego Sherlock Holmesa.

Rafał Królik poczuł nagle, że nogi ma z galarety. Zapadł się, skurczył, zmałał wobec tego tyczkowego wielkoluda, a jego zęby wydzwoniły koloratutowym sopranem, choć

pianissimo, dwa wyrazy: – Baltazar Szafran! Nie przytomność umysłu, nie spryt, ani tupet, lecz wyłącznie instykt samozachowawczy, wyostrzony po sobotniej przygodzie w willi posła S., kierował dalszymi czynami reportera.

Odsunawszy energicznie detektywa pchnął Ewę Turno ku klatce schodowej, a sam mijając przyglądającego mu się bacznie Szafrana, rzucił przez ramię garść krótkich lapidarnych zdań, wypowiedzianych tonem niemal rozkazującym, choć głos mu drżał i z trudem przepychał się przez krtań:

– Czekałem na pana przeszło pół godziny. Ta pani odjeżdża. Jadę z nią na dworzec, potem wrócę. Proszę czekać koniecznie, sprawa ważna, bardzo poważna!

– All right – szczechnął Baltazar Szafran, uznawszy to wyjaśnienie za wystarczające. – Będę czekał na pana.

– A czekaj sobie do sądnego dnia – mruknął Królik z ulgą, pędząc na dół schodami. Dogoniwszy Ewę na pierwszym piętrze, oświadczył, iż chudy jegomość, którego co dopiero spotkali, to jego najzdolniejszy pomocnik. – Musiałem mu dać kilka wskazówek, instrukcji – łągał już całkiem śmiało – bo doskonały z niego robotnik w naszym fachu, ale bardzo niesamodzielny. Trzeba nim kierować jak maszyną... No, tak... A teraz możemy powrócić do sprawy pani, do tego upppp... – Znów urwał. – Proszę wyjść szybko i czekać na najbliższym rogu ulicy – dodał szeptem, popychając Ewę. Wyszli właśnie z klatki schodowej do wielkiej sieni na parterze i tu, ku swojemu zdumieniu, ujrzał Rafał dwóch poważnych panów w czarnych zarzutkach i w melonikach. Rozmawiali z dozorcą kamienicy, zapytywali o Baltazara Szafrana. Tak, o niego. Rafał miał słuch świetnie wyostrzony od soboty. Potem obciągnęli płaszcze, przybrali miny długoletnich funkcjonariuszy zakładu pogrzebowego i naciągając rękawiczki, wkroczyli wraz z dozorcą do oszklonej klatki windy.

– Sekundanci posła S. Idą wyzwąć Baltazara! – pomyślał Rafał z humorem, dziwiąc się tylko, skąd poseł wytrzasnął tak na poczekaniu swoich świadków. – Widocznie niektóre kluby parlamentarne mają zawsze pod ręką parkę takich honorowych karawaniarzy – przypuszczał i bodaj, czy się omylił. Nie tracił jednak czasu na długie deliberacje, wychodząc z założenia, że byłoby ostatnim głupstwem pozostawać w bliskości miejsca, gdzie lada moment miała bomba wybuchnąć.

Na ulicy obleciał go strach. Wydało mu się, że gruba baba z kiosku tytoniowego spogląda nań podejrzliwie, że mały kolporter kroczy za nim uparcie, że policjant zauważył już przedpotopowy rewolwer, obciążający rozpaczliwie prawą nogawkę spodni, że wszyscy ci świadkowie wskażą Baltazarowi, którędy odszedł ten mały człowieczek, upstrzony na buzi plastrami angielskimi. Nie namyślając się długo wskoczył do przejeżdżającej taksówki, podjechał do miejsca gdzie czekała Ewa Turno, wciągnął ją do wnętrza, kazał się wieźć na Plac Teatralny, stamtąd autobusem pojechali na Plac Zbawiciela, by w końcu tramwajem powrócić na Nowy Świat i wysiąść przed „Italią”.

– W ten sposób zawsze wychodzę z domu, by zmylić moich wrogów, którzy każdy mój krok śledzą nieustannie – tłumaczył Ewie, nie tającej swego zdziwienia z powodu tak zawitych peregrynacji po mieście z użyciem rozmaitych środków komunikacji. – Teraz jestem do dyspozycji pani.

– A która to godzina? – spytała. – Miał pan przecież odbyć konferencję z panem ministrem sprawiedliwości.

– Prawda! – przypomniał sobie, sięgnął po zegarek i zaklął. Zegarka nie było. Został tam, na biurku Baltazara Szafrana, zapomniany w pośpiechu. Za to kieszeń w spodniach pruć się powolutku pod ciężarem potężnego parabellum. – Zamienił stryjek, na siekierkę kijek – pomyślał Rafał z żalnością. – Ciekawym, co znowu zgubię? Czy nie byłby już najwyższy czas zakończyć tę kosztowną znajomość? – Odpędził tę myśl natychmiast, skoro spotkał wzrok Ewy, tak proszący, taki błagalny, ciepły. Wystrychnąć tę dziewczynę na dudka, uciec jej? Och, nie, za nic!!!

– Może wyznaczy mi pan spotkanie po tej konferencji – podjęła po chwili milczenia. – Rozumiem doskonale, minister to...

– Gwiżdżę na niego – przerwał Rafał energicznie. – Niech sobie czeka. Nie ja do niego, ale on do mnie ma interes.

– No dobrze, ale nie przystanę nigdy, by przeze mnie narażał pan sobie tak wysokie osobistości. Proszę iść przynajmniej zatelefonować do pana ministra, usprawiedliwić się jakoś, a ja tymczasem zajmę stolik na tarasie. Dobrze?

Nie ustąpiła, odszedł więc, co prawda nie tyle do telefonicznej budki, ile w jej bliskie sąsiedztwo, za którym tęsknił dość intensywnie, na skutek silnych wzruszeń, jakie przeżył w mieszkaniu Baltazara Szafrana.

IV. LISTA PODEJRZANYCH

Rafał Królik wkroczył na taras kawiarni rozpromieniony, tryskający energią, zadowolony, jak gdyby się pozbył ogromnego ciężaru. Pomyślny przebieg „rozmowy z ministrem” napełnił go optymizmem, jaki go cechował stale przed fatalną sobotą. Już nie czynił sobie wyrzutów, iż wprowadził w błąd Ewę, jej tajemnicza afera z „duchem” wydała mu się błahostką, którą każdy średnio inteligentny śmiertelnik potrafi wyjaśnić. Przewidywał też, że indywidualum, które tak naiwnymi środkami terroryzuje strachliwe kobiety, nie ośmieli się na dalsze występy, skoro do dworu zajedzie groźny Baltazar Szafran! – To niby ja – dodał w myśli, osuwając się powoli z cudzą skórą i nazwiskiem. Niemniej trzeba będzie draba zdemaskować, inaczej, po wyjeździe rzekomego detektywa, gotów znów zacząć swoje psie figle. To również nie wydało się Rafałowi zadaniem ponad jego siły. Naczytał się w życiu co niemiara romansów kryminalnych, uzupełnił swą wiedzę oglądając filmy z niezapomnianym Lon Chaneyem, czy niesamowite obrazy Pawła Leniego i wiedział, że żaden zbrodniarz nie bawi się w takie maskarady bezinteresownie, bez celu, do którego zmierza choćby po trupach najbliższych.

Myśl tę wyraził też Rafał słowami, skoro ujrzał Ewę na tarasie i przysiadł się do jej stolika:

– Postaram się w drodze dedukacji ustalić, kto jest owym upiorem. W tym celu musi mnie pani zaznajomić ze swoimi stosunkami rodzinnymi i majątkowymi, zwłaszcza majątkowymi panno Ewo, bo stara to zasada, że w tych tajemniczych sprawach kryminalnych przestępcą „is est, cui protest”.

– „Cui prodest” – odważyła się poprawić nieśmiało.

– Rafał prychnął śmiechem. – Miałem niedawno do czynienia z aferą zaprotestowanych weksli, stąd maleńki lapsus linguag – wyjaśnił, przemilczając przez skromność, że chodziło w tym wypadku o jego własny weksel, wręczony ongiś krawcowi na pokrycie rachunku za ubranie. – A teraz zaczynamy – rzekł, zamawiając u kelnera lody „na odczepnego”.

– Zanim zaczniemy – odparła Ewa – chciałabym mistrzowi zadać dwa pytania. Po pierwsze, czy pan minister bardzo się gniewa, że...

– Ach, trochę – przerwał Rafał – zaprosił mnie dziś na kolację i powiedział dosłownie tak: „rozumiem cię doskonale, mój stary i zawsze chętnie ustąpię pierwszeństwa pięknej kobiecie”.

– Z tego widzę, że moja niegodna osoba była przez chwilę przedmiotem rozmowy dwóch tak znakomitych mężów.

Ze szczerą radością spoglądał „znakomity mąż”, Rafał Królik, na zapłonioną dziewczynę, rzucił garść komplementów i spytał o drugą kwestię.

– Druga dotyczy pańskiej zgody i honorarium – odparła z wahaniem. – Lubię stawiać sprawę jasno, mistrzu, więc proszę darować mi szczerłość... Wiem, że pański czas jest

bezcenny, że pobiera pan królewskie honoraria, i ja, kiedy chodzi o moje ukochane Bory, nie powinnam się cofnąć przed żadnym wydatkiem. Niestety muszę się liczyć z twardą rzeczywistością. Krótko mówiąc, mogłabym panu dać na razie jakąś zaliczkę, a resztę dopiero po żniwach. Cóż pan na to mistrzu? – dodała cichuteńko, zaniepokojona jego milczeniem. – Jakiej sumy żąda pan za zdemask...

– Żadnej absolutnie – przerwał energicznie, zbudziwszy się z zadumy, której treścią była ostatnia potyczka ze skrupułami, czy grać nadal tę farsę kosztem Ewy. – Absolutnie! Zaprasza mnie pani do siebie na wieś, na wakacje, dostanę wikt, jakiś ką, „opierunek”, i na tym koniec.

– Ależ mistrzu. Pański cenny czas...

– Jest cenny, to prawda, lecz równie prawda, że należy mi się miesiąc wytchnienia.

– Mistrzu, drogi mistrzu, jak ja się panu odwdzięczę? – zawołała zmęczona i uścisnęła reporterowi dłoń serdecznie.

– Przedwcześnie o tym mówić – zauważył ze skromnością. – Kto wie, czy ten duch nie okaże się sprytniejszy ode mnie. Niczego nie przyrzekam z góry, panno Ewo, prócz tego, że dołożę wszelkich starań.

– Och, jestem spokojna o wynik meczu: „duch” contra niezwyciężony Baltazar Szafran! Ale, czy nie uważa pan, że byłoby przekorniej gdyby genialny pogromca przestępców zajechał do Borów incognito?

– Właśnie chciałem to powiedzieć.

– Musi pan sobie wyszukać jakiś pseudonim, jakieś nic nie mówiące nazwisko, jakiś zawód niegroźny, by „ducha” przedwcześnie nie spłoszyć.

– Słusznie, całkiem słusznie – potakiwał. – Będę miał w pani pojętą uczennicę, widzę już... Szukajmy teraz pseudonimu... Mam! – zawołał olśniony nowym pomysłem. – Będę się nazywał Rafał Królik!

– Doskonale – ucieszyła się. – A może: Zając? Nie, to zanadto humorystycznie. Niech będzie Królik, Króliczek, ha, ha, ha... – Zamyśliła się nagle: – Mam wrażenie, że to nazwisko obilo mi się niedawno o uszy.

– Jest zdaje się pewien dziennikarz nazwiskiem Królik – zauważył niedbale, śledząc uważnie spod oka grę twarzy swej towarzyszki. Był niezmiernie ciekawy, czy jego popularność jest tylko lokalna, czy też echa sobotniej przygody dotarły już na prowincję.

– Prawda – ożywiła się Ewa Turno. – Tak się nazywał ten niefortunny reporterzyna, którego jakiś małżonek złapał in flagranti i srodze poturbował. Tak, tak, czytałam o tym. Doskonały pomysł, mistrzu, świetny pomysł, że postanowił się pan podszyć pod firmę tego głuptasa. Przestępca, który chce mnie wypłoszyć z ojcowizny, zlekceważył sobie oczywiście jakiegos tam „króliczka”.

Reporter stuknął ołówkiem w notes i rzekł chłodno:

– Może teraz przejdziemy do meritum sprawy, dobrze?

Przeprosiwszy go za niewieście gadulstwo, zaczęła opowiadać:

– Jestem właścicielką Borów, trzystu morgowego folwarku w Małopolsce wschodniej. Moje dobra, że użyję ulubionego wyrażenia ekonomy Kochauta, leżą na północnych stokach Karpat Połonińskich, a właściwie, jeszcze Beskidów Wschodnich, krótko mówiąc, między górnym Sanem, a górnym Dniestrem. Majątek nieszczęśliwy, dużo skał, nieużytków, jeszcze więcej kwaśnych łąk i lichych pastwisk, ornego mało, hipoteka zadłużona „po uszy”, bowiem moc pieniędzy pochłonęła odbudowa gospodarskich budynków, prawie z ziemią zrównanych w czasie Wojny Światowej... ale moje kochane Bory posiadają w głębi bezcenne skarby... ropę!

– Niby naftę?

– Nafta jest już przetworem, fabrykatem, podobnie jak benzyna, albo...

– Ależ wiem, wiem doskonale – obraził się. – Chemia jest moją ulubioną rozrywką w rzadkich chwilach odpoczynku w moim zawodzie – dodał łgając już całkiem autentycznie, jakby z przyzwyczajenia. A jest to naprawdę pewne z tą naftą... to jest ropa?

– Najzupełniej. Dość powiedzieć, że moimi najbliższymi sąsiadami są „Polish Petroleum Company”, a z drugiej strony Mateusz Rojek.

– Ten polski król naftowy? No, proszę! Myślałem, że jego przedsiębiorstwa znajdują się w Drohobyczu lub Botysławiu.

– Oba te miasta leżą sporo na wschód i na prawym brzegu Dniestru – wyjaśniła. – Ale wracam do naszej historii. Otóż Rojek, opętawszy całkowicie mego stryjka Augusta, właściciela sąsiedniego majątku „Rozłaka”, zamierza z kolei opanować Bory i pozyskał nawet zgodę stryja będącego moim opiekunem. Na szczęście jednak Sąd Powiatowy, jako władza nadopiekuńcza, odrzucił propozycję zarówno Rojka jak i Rogersa, dyrektora „P. P. C.” i nie przystał ani na sprzedaż Borów, ani na wydzierżawienie ich wstrętnym nafciarzom.

– Z tego widzę, że pani jest jeszcze małoletnia. Nie omyliłem się tedy szacując panią na osiemnaście wiosenek – wtrącił Rafał, nie podnosząc oczu od notesu, w którym kreślił coś zawzięcie.

– Ewa Turno uśmiechnęła się jak na białogłową przystało. – Pochlebca z mistrza – rzekła, grożąc mu śniadym paluszkami. – Niestety jestem grubo starsza, skończyłam już w zimie dwadzieścia lat, czyli za pół roku osiągnę ustawową pełnoletność... I, jak przypuszczam, w związku z tym właśnie, przypuszczono na mnie atak generalny. Od zimy nagabują mnie nieustannie różni pośrednicy, agenci Rojka, Rogersa oraz innych nafciarzy, licytując się wzajemnie, przyrzekają złote góry byłem tylko podpisała jeden z przedkładanych mi świstków, czyli zobowiązań, i związała sobie ręce.

– A pani cóż na to?

– Wyrzucam wszystkich za drzwi, ani im się wygadać nie pozwolę. Jednego z nich niejakiego Saula Immerglücka, omal szpicrutą nie przeciągnęłam, tak się zachował bezczelnie. Odszedł z pogroźką: „Uderzy pani jeszcze w pokorę, panno Turno, ale wtedy my ani połowy dzisiejszej ceny nie damy”!

– Kogo reprezentował ów wojowniczy Saul?

– Ach nie wiem nawet. Zapomniałam spytać, taka byłam zdenerwowana.

– Kiedy to było mniej więcej. Dawno temu?

– O, dość dawno. Jakoś przed Bożym Narodzeniem, na kilka dni przed moim wyjazdem z Krakowa do Borów. Bo trzeba panu wiedzieć mistrzu, że studiuje w Krakowie agronomię i, jeśli się nie zetnę przy ostatnich egzaminach, będę w przyszłym roku gotowa z budą, po czym zacznę wreszcie sama gospodarować w Borach. Sama! Bez idiotycznej kurateli Priwima.

– Któż to zacz, ten Priwim? – spytał Rafał, notując sobie nowe stanowisko. Pomyślał też jednocześnie, zastęp osób działających zwiększa się zatrwajająco, i ustalenie kim jest ów upiór nie będzie wcale tak łatwą rzeczą, jak to sobie przed chwilą wyobrażał.

– Ewa wyjaśniła, że Jan Priwim jest prywatnym sekretarzem jej stryja, stale od lat mieszkającego w Paryżu. Kiedy w zeszłym roku w okresie świąt Bożego Narodzenia napisała stryjowi list z ostrymi wymówkami z powodu wydzierżawienia Rojkowi Rozłaki oraz fatalnej gospodarki w Borach, stryj August, zamiast sam wreszcie przyjechać, przysłał jej na kark tego Priwima, który do tego czasu siedzi w Borach i wtrąca się do wszystkiego.

– A od kiedy zaczęło „straszyć” we dworze?

– Koło Nowego Roku jeśli pomnę... Tak, tak... ledwie przybyłam do Krakowa, otrzymałam alarmujący list od poczciwej Gładyszki. Tak ją nazywamy, tę naszą gospodynię w Borach. Jej nazwisko brzmi: Amalia Pelagia Gładyszówna – dyktowała widząc, że „mistrz” znów skwapliwie zapisuje.

Z kolei Ewa Turno przeszła do ostatnich wypadków. Raz jeszcze, choć dokładniej tym razem niż w gabinecie detektywa, przedstawiła wypadki pamiętnej nocy, kiedy to po raz

pierwszy sama stanęła oko w oko z upiorem, lecz dorzuciła nowy szczegół: Oto jej rewolwer, z którego dwukrotnie wystrzeliła do niesamowitej zjawy, był niezdolny do dalszego użytku; uścisk jakiś, czarcich chyba kleszczy, zgniół, splaszczył lufę, a na osmolonej, rozhartowanej stali wyrzył ślady nadludzko silnego uchwytu.

– Może pan sobie wyobrazić, mistrzu – mówiła Ewa, wyjmując z torebki zniekształcony browning – jakie wrażenie to wywarło na służbie, która mnie nazajutrz nieprzytomną koło łóżka znalazła. Nawet Priwim, który dotychczas pokpiwał z naszych „przywidzeń”, zbladł i chciał koniecznie wezwać komendanta posterunku z Rozłęki. Ledwie mu wyperswadowałam.

– Dlaczego, czy nie było wskazane dać znać policji?

– Nie, mistrzu. Robiło się to kilka razy, kiedy upiór rozpoczął swą działalność i kiedy jakaś tajemnicza ręka wytruła w jedną noc trzy psy łańcuchowe i potem także. Niestety, nic to nie pomogło. Na próżno sam komendant zastawiał chytre pułapki na spółkę z moim ekonomem i stróżem nocnym. „Ducha” nie złapali, resztę psów także wytruto, nawet Pika, mojego ślicznego wyżła. W dodatku jakieś licho wtrąciło jednego z policjantów do dołu z gnojówką i biedak nogę sobie zwichnął w tym wypadku. Po cóż więc miałam uczynnych, lecz bezradnych stróżów bezpieczeństwa publicznego narażać na nową kompromitację. Wolałam raczej zwrócić się do niezawodnego pogromcy najgroźniejszych przestępców... do pana, mistrzu!

Rafał Królik podziękował jej skinieniem głowy i zapytał o nazwiska ekonomy oraz stróża nocnego. Ekonomem był niejaki Kochaut, którego ojciec zmarły przed czterema laty, administrował ongiś folwarkami Augusta Turno aż do chwili kiedy ten wydzierżawił je Rojkowi.

– Ten drugi zaś – ciągnęła dalej Ewa – nazywa się Marcin Rogalik, jest u mnie stróżem nocnym, kładzie się spać o świcie, gdy fornale wstają do rannego obroku, śpi do południa, a po południu pełni funkcję dworskiego kowala. Bardzo sumienny i pracowity robotnik.

– Zapewne, zapewne, skoro pracuje we dnie i w nocy. Hm, zatem jest także kowalem – dodał w zamyśleniu, oglądając znów piętno szatańskich kleszczy na rewolwerze Ewy.

– Tak – powiedziała. – Mamy we dworze maleńką kuźnię, do...

– Ach, kuźnia jest także we dworze, nie tylko we wsi! – przerwał z nagłym ożywieniem.

– Teraz rozumiem nareszcie, w jaki sposób „duch potępionego” zdążył porobić te znaki, zanim panią służba znalazła!

W toku dalszej rozmowy zapoznając rzekomego detektywa z osobami, z którymi miała styczność w ostatnich czasach, nie mogła pominąć milczeniem Andrzeja Barskiego. Ten młodzieniec, bawiąc w jakimś interesie swojego szefa w Krakowie, odwiedził ją, przedstawił się jako daleki kuzyn i zaklinał ją na wszystkie świętości, by Borów z rąk nie wypuszczała, by nie poszła na lep najkorzystniejszych pozornie propozycji, gdyż ani nie przypuszcza, jak szalenie bogate tereny naftowe tam posiada...

– „Niech pani nie kroczy śladem swojego lekkomyślnego stryja, zaklinam panią”, mówił. Ale, ale drogi mistrzu: o tej wizycie Barskiego u mnie sza! Ani słowa! Gdyby się coś doniosło do Rojka, Barski, który pracuje u niego jako inżynier, wyleciałby z posady momentalnie.

– Hm, hm, typek niezbyt lojalny wobec swego chlebodawcy, jak z tego widzę.

– Krzywdzi go pan, mistrzu. To naprawdę jedyny, budzący zaufanie człowiek wśród tych przebrzydłych naftowych geszefciarzy.

– W każdym razie ma w pani dzielnego obrońcę – zauważył Rafał z uśmiechem, lekko zaprawionym zazdrością, bowiem nie usłyszy jego uwagi żywe błyski w oczach Ewy, gdy mówiła o Barskim, ani przelotne rumieńce na jej policzkach...

– Jestem już z grubsza zorientowany w pani stosunkach. Powiem więcej: zdemaskowanie upióra z Borów będzie dla mnie bagatelką, gdyż jego prawdziwe oblicze jest mi już znane... O tu! Tu go mam panno Ewo.

Rafał potrząsnął zwyczajnie swym notesem, rzucił go nonszalancko na płytę stolika i jął zacierać dłonie. Był niezłe głodny, namyślał się właśnie czy zaproponować Ewie, by wspólnie zjedli obiad w jakiejś tańszej restauracji, gdy nie opodal ujrzał jednego z młodszych redaktorów „Kuriera”. Ów kłaniał mu się uprzejmie, ach niebywale uprzejmie, oczywiście z tego powodu, że go zobaczył w towarzystwie tak pięknej kobiety i zezował pytająco w jej stronę. – Przepraszam panią na chwileczkę – rzekł Rafał, zerwał się, jak podrzucony sprężyna i popędził naprzeciw eks-kolegi; lękał się, by tamten jakimś powitalnym okrzykiem nie wsypał go przed Ewą, toteż wołał zażegnać niebezpieczeństwo zawczasu. Powiodło się na szczęście. Redakcyjny donżuan, omotany wymową Rafała, improwizującego niesłychanie historie na temat dziewczyny, pozwolił się pod ramię uprowadzić z tarasu do wnętrza kawiarni.

Ewa Turno została sama. Sam na sam z pozostawionym na stoliku notesem, który stał się od razu nieprzewycięzoną pokusą dla kobiecej ciekawości. Ewa nie była oczywiście taka niedyskretna, by wertować kartki cudzego notesu i w innych warunkach ani by doń nie zajrzała. Ale Ewa nie miała skrupułów, kiedy chodziło o ukochane Bory. A przecież genialny Szafran powiedział sam, iż oblicze przestępca jest już mu znane. „Tu go mam”, rzekł dosłownie, klepiąc swój notatnik.

Drżącą dłonią przesunęła notes i otworzyła go w tym miejscu, gdzie między kartkami leżał wsunięty ołówek. Spojrzała. I zdumiała się.

W górnej części stronicy znajdował się groteskowy rysunek przedstawiający lasek świerkowy z napisem „Bory”, ponad którym to laskiem unosiło się monstrualne, skrzydlate straszdyło w aureoli niezliczonych pytań i wykrzykników. Potwór ten, mający kształt jak gdyby nietoperza miał na łbie potężną papachę rosyjską z bolszewicką gwiazdą, a przez piersi przepasany był szarfą, ozdobioną czterema kunsztownymi literami: DUCH! Poniżej, pod wiele mówiącym nagłówkiem: „LISTA PODEJRZANYCH”, figurowały kolejno nazwiska: Rogers, Rojek, Immergluck, August Turno, Priwim, Amalia Gładysz, Kochut, Rogalik, wreszcie Andrzej Barski. Ten ostatni obok zwykłego wykrzyknika, jaki znajdował się obok każdego nazwiska jego poprzedników, posiadał także emblemat, przedstawiający odwróconą gruszkę, przesytną strzałą.

– Czyżby to miało być serce? – pomyślała Ewa, stając w pąsach, nie wiedząc z jakiego powodu. A potem ogarnęło ją zdumienie bezbrzeżne: – Ależ on podejrzewa wszystkich bez wyjątku! Wszyscy są na jego czarnej liście. – Długo jej przyszło czekać na powrót „mistrza”. Bo oto kolega redakcyjny zapytany o najświeższe nowiny, powiedział w pewnej chwili:

– O wypadku samochodowym ministra sprawiedliwości pewnie już czytałeś. Nie? No nic poważnego, nie rób takiej strapionej miny, jakby ci familia na galopujący świerzb wymarła. Auto się przekopyrtnęło, zleciało do przykopy, ale minister wyszedł tylko podrapany.

– Gdzie się to wydarzyło? – jęknął Rafał, tknięty złym przecuciem. – Tu, pod Warszawą?

– Ale skąd. Pod Krakowem. Czy nie wiesz, że on odbywał właśnie w Małopolsce podróż inspekc...

– Czemu właśnie w Małopolsce! Właśnie teraz! – wrzasnął Rafał z pasją, kalkulując w myśli, że jeśli Ewa weźmie dziś do ręki jakąkolwiek gazetę, to jego prawdomówność, jego dobra opinia w oczach tej ślicznej czarnuszki stanie pod znakiem zapytania. – To trzeba mieć mojego pecha – krzyknął jeszcze i popędził na taras, pozostawiając zdumionego eks-kolegę w hallu kawiarni. Ten zaś odprowadził uciekającego reportera współczującym spojrzeniem i westchnął: – Poseł S. musiał biedakowi i mózg nadwyreżyć, nie tylko fizjonomię. Plecie nieborak zupełnie od rzeczy. I taki osioł ma szczęście, taki kwadratowy osioł! – dodał z zazdrością, wspomniawszy sobie czarującą brunetkę, w której towarzystwie widział przed chwilą Rafała Królika...

V. TAJEMNICZY PODPALACZ

Rafał Królik otrzymał na własne żądanie pokój sąsiadujący z jadalnią, za którą znajdowała się sypialnia młodej dziedziczki Borów: w ten sposób chciał zadokumentować swą gotowość czuwania nad snem Ewy.

Przyjechali do Borów po zachodzie słońca, toteż postanowił rozejrzeć się w sytuacji dopiero nazajutrz, a na razie wypocząć po męczącej podróży trzecią klasą. Przy kolacji poznał trójkę „dygnitarzy” dworskich, mianowicie Jana Priwima, dalej Kochauta czyli „pana rzomce”, jak go tytułowała służba folwarczna, wreszcie Amalię Pelagię dwojga imion Gładyszównę, eks-kucharkę, a obecnie gospodynię. Kochaut i Gładyszówna wyglądali na operetkową parę wiernych sług, tępych, ograniczonych, żrących się między sobą, jakby im to było do zdrowia niezbędne, ale jednako rozkochanych w swojej chlebobawczyni. Za to małomówny, podejrzliwy Priwim, ponoć obieżyświat i sekretarz zdziwaczałego milionera, a nieobyty, żeby nie powiedzieć: nieokrzesany, i jedzący tak obrzydliwie nieapetycznie, jak przeciętny mieszczuch francuski... nie budził w Rafale najmniejszego zaufania.

– Przyszły od pana Augusta dwa listy w czasie pani nieobecności. Jeden do mnie, drugi do pani – rzekł, wymieniając siebie na pierwszym miejscu. Jeszcze gorzej ponosiło Rafała, kiedy antypatyczny zrzęda zaczął strofować Ewę z powodu jej podróży do Krakowa. Tak, do Krakowa, bowiem Ewa umyślnie nie wyjawiała nikomu, że była w Warszawie, a nagły swój wyjazd upozorowała koniecznością osobistej interwencji w krakowskim oddziale Państwowego Banku Rolnego, w sprawie swego podania o pożyczkę długoterminową, której chciała użyć na konwersję uciążliwych długów majątku.

– No? Wskórała pani co? – utyskiwał Priwim, zażerając się nieprzyzwoicie, choć wszyscy już dawno jeść przestali. – Oni forsy nie mają, dawno wiem. Szkoda było kosztów podróży. Pan August jak się dowie...

– Jak mu pan znowu doniesie – wtrąciła Ewa z ironią.

– To mój obowiązek, a pan August wciąż mówi: oszczędzać.

– I sam daję doskonały przykład siedząc w Paryżu od lat, i nie troszcząc się ani o własny majątek, dewastowany przez spekulanta, ani o majątek swej małoletniej pupilki. No, dziękuję panu za miłe towarzystwo.

Wstała, kiwnęła głową w stronę Kochauta, stojącego koło zegara, uśmiechnęła się przyjaźnie do Gładyszki, piorunującej wzrokiem Priwima i wyszła do ogrodu z Rafałem. Już w progu dobiegł ich niedźwiedzi pomruk Priwima.

– Jutro se chce pogadać z panią o tych listach.

Rafał tylko głową kiwnął ze zdumienia: – Chce se pogadać – przedrzeźniał, krocząc obok Ewy krętą ścieżką wśród okwitłych bżów. – Ładnego sekretarza sobie stryjek pani wyszukał, no – zauważył. – To chyba zwyczajny chłop bez najmniejszej ogłady towarzyskiej.

– A co gorsza – dorzuciła – stryj w jego towarzystwie także schłopiał doszczętnie. Gdybym panu przeczytała dawne listy stryja i obecne, nigdy by pan nie powiedział, że pisała je ta sama ręka.

– Ale pismo to samo, co? – spytał Rafał zniechęca, zasmakował już w roli detektywa i wszystko podejrzewał, wszędzie wietrzył nieczyste sprawy. Tym razem spotkał go zawód. Ewa odpowiedziała, że stryj kupił sobie przed laty maszyną do pisania i od tej pory stało się nieprawdopodobnym zdobyć jego autograf; wszystko pisze na maszynie, dobrze jeszcze jeśli się ręcznie podpisać raczy. – O dziwactwach stryja pomówimy sobie może innym razem, dziś należy się nam trochę snu i wypoczynku – rzekła. Stało też na tym i koło godziny dziesiątej Rafał znalazł się w łóżku. Nie znaczy to jednak, iż o dziesiątej zasnął. Och, przeciwnie, zmora odpowiedzialności padła mu głazem na piersi i spędziła sen z powiek na długie, długie

godziny. Gdyby tu w grę nie wchodziło bezpieczeństwo Ewy potraktowałby całą mistyfikację na wesoło, jako wakacyjną przygodę i niechby nawet tajemniczy „duch” triumfował kosztem kompromitacji Baltazara Szafrana. Ale, nie! Nie mógł dopuścić by jakakolwiek krzywda spotkała tę dziewczynę, która tak wiernie stała w obronie swej ojcowizny, zagrożonej przez niesamowitego wroga, czy całą szajkę wrogów.

Nie zapalając światła podszedł Rafał zasłuchany w srebrzyste pienia słowików, do uchylonego okna. Wychodziło na park. Rafał był dzieckiem wielkiego miasta, lecz zgiełkliwa pełna dysonansów melodia wielkomiejskiej ulicy nie zdołała w nim zabić wrażliwości na prawdziwe piękno, z którym hałaśliwe dżungle kamienne mają niezmiernie mało wspólnego. Więc oczarował go z miejsca ten park dostojny, stuletni, niepomny już ran, jakie granaty w nim wyszczerbiły w czasie Wojny Światowej, upoił go śpiew słowiczy, odurzyła woń kwiatów i, sam nie wiedząc jak ani kiedy, znalazł się w ogrodzie.

– Trzeba pięknie połączyć z pożytecznym – rozmyślał – może stąd prędzej dostrzegę tego upiora i dowiemy się w końcu skąd przybywa.

Koło północy kiedy już zamierzał powrócić do łóżka, posłyszał odgłos kroków gdzieś w pobliżu. Oddaliły się, ucichły, lecz w dziesięć minut później znowu ktoś przeszedł tą samą drogą, potem po raz trzeci i czwarty. Rafał pomyślał z humorem, że to pewnie „duch”, który za pokutę, musi odbywać takie spacerory nocne tym samym szlakiem, niemniej jednak zrobiło mu się trochę nieswojo.

– Ki diabeł? Stróż nocny? W każdym razie ktoś z domowników, sądząc po pewności, z jaką orientuje się po ciemku. Ale po kiego licha ta łążęga chodzi tam i na powrót?

Wspomnienie Ewy dodało mu odwagi. Ruszył tropem tajemniczego spacerowicza, orientując się tylko słuchem, gdyż chłodny, północny wietrzyk pogasił gwiazdy, naspedzawszy chmur, jakby na burzę. Ale wiatr ten był też sprzymierzeńcem; na jego rachunek poszły wszelkie szelesty, jakie wywoływał pochód Rafała, nieobeznanego z terenem i nienawykłego do poruszania się w mrokach.

Idąc wciąż za niewidzialnym w ciemnościach jegomościem, obszedł lewe skrzydło dworku (mieszkał tu Priwim), a nad nim, na stryszku pocziwa gospodyni, właścicielka aż dwóch staropanińskich imion, i znalazł się przy otwartej furtce. Niski płotek z dość koślawych sztachet, oddzielał park od folwarcznego dziedzińca, w obręb którego wkroczył już nieznamy, posuwając się jeszcze pewniej i głośniejsz niż w ogrodzie. Szedł teraz wzdłuż północnego frontu domu mieszkalnego, w stronę drzwi, przed którymi bryczka wysadziła Ewę i jej gościa. Przystanął, więc i Rafał zastygł w bezruchu, nadsłuchując bacznie, co dalej nastąpi. Nagle stuknęło coś, rozległ się przeciągły plusk, jak gdyby ktoś dużą konew wody przelewał, drugi plusk podobny, i znowu odgłos kroków; nieznamy powracał tą samą drogą.

Kiedy kroki ucichły, Rafał pomaszerował śmiało w stronę drzwi dworku. Odnalazł je bez trudu, gdyż pomalowane na orzech deski, stanowiły najciemniejszy punkt na tle białej frontowej ściany budynku i, grzęznąc w błocie, stwierdził iż cenną dla gospodyni deszczówkę wylano na ziemię. Lecz mimo to beczka nie była próżna; stawiała srogi opór, kiedy ją szarpnął, trzymając oburącz za górne krawędzie klepek. Jakaś dobrze znajoma woń polechtała nozdrza Rafała. Zanurzył rękę i cofnął się zdumiony.

– Benzyna?! – mruknął pytająco, jakby sobie jeszcze niedowierzał. Tak, to była benzyna. Ale w jakim celu ów tajemniczy osobnik trzymał się po nocy, by beczkę przeznaczoną na deszczówkę, napełniać benzyną i skąd wziął tak spory zapas tego płynu, gdzie go przechowywał? – W parku – odpowiedział sobie Rafał sam na to pytanie. – Czyżby tu było w planie jakieś podpalenie? – Aż ścierpł ze zgrozy na taką myśl, niemniej nie potrafił już jej odpędzić. – Co począć? Co począć? – biedził się trąc czoło z pasją jakby chciał stamtąd wycisnąć jakiś zdrowy pomysł. Czekać na dalszy rozwój wypadków? Nie, taka bierność byłaby karygodna, nawet gdyby nie chodziło o Ewę. Zatem zaalarmować

domowników? Nie, bo może zażegnałby na teraz niebezpieczeństwo, ale nie w przyszłości. Należało raczej schwytać łotra in flagranti, zdemaskować go i unieszkodliwić raz na zawsze.

Jedną z niewielu zalet Rafała było to, że decydował się szybko i powzięty zamiar, choćby najbardziej nonsensowny, realizował na poczekaniu. Tak było i teraz. Umyśliwszy sobie, że tajemniczy jegomość nosi benzynę skądś z parku, że właśnie tam znowu odszedł, popędził Rafał ku furtce. Tu postanowił się zacząć i przychwycić tamtego. Nagle przypomniał sobie, że jest zupełnie bezbronny. – Trudno wymagać, bym siedł słuchać słowików z kolubryną Szafrana w dłoni – usprawiedliwiał się sam przed sobą. – I co teraz? A nuż ten drab będzie mocniejszy ode mnie, nuż mnie poczęstuje nożem, albo diabli wiedzą czym? – Osądził, iż nie ma innej rady, jak tylko pobiec do pokoju po rewolwer i powrócić spieszenie na upatrzony posterunek, zanim śledzony typek nadejdzie z nowym transportem benzyny. Przeprowadziwszy tę słuszną kalkulację, pognął Rafał, jak szalony ku oknu, nie ścieżką nawet, ale na bliższe drogi poprzez rabaty i klomby kwiatów, tuż przy ścianie południowego frontu dworku. Nagle pociemniało mu w oczach. Poczł silne tępe uderzenie w okolicę lewej skroni, runął, jak długi, a upadając, wyrzwał znów głową o coś twardego i stracił czucie.

Pierwszym spostrzeżeniem jakie Rafał uczynił po odzyskaniu przytomności było to, że nie jest już tak przeklęcie ciemno, jak przedtem. Bez trudu rozróżniał kontury drzew, oraz zarysy okapu dachu, nawet rynny, ale ani nie widział gwiazd ani nie posłyszał radosnego świergotu ptaków, witających poranek. Natomiast dobiegły go echa głośniejszej wrzawy, okrzyków i łoskotu przypominającego odgłosy pracy drwali. Tknięty złym przeczuciem usiadł na ziemi i mimo zawrotu głowy, jął się wytrwale windować na nogi. Upewnił się z każdą sekundą, że to, co w pierwszej chwili wziął za odblask rannej jutrzemki, było refleksem łuny. Palilo się tu, we dworze.

Zataczając się, szedł tą samą drogą poprzez klomby, którą biegł przedtem, póki nie grzmotnął głową w coś.

Gdy dotarł do końca ściany, wionęła mu w twarz struga ciepłego powietrza, przed którym go dotychczas osłaniał budynek mieszkalny. Odetchnął z ulgą. To nie dwór się palił, lecz stodoła i sęta słomy na środku dziedzińca. Na szkarłatnym tle ognistego gejzeru, dojrzał ciemne sylwetki krzątających się ludzi, bliżej dwa samochody, a jeszcze bliżej koronkę sztachet. Nie od razu znalazł w tym płotku dobrze zamaskowaną furtkę, przedtem na oścież otwartą, gdy śledził w ciemnościach zagadkowego jegomości, teraz zaś zamkniętą. Otworzył ją i dość niepewnie ruszył w kierunku garstki osób, kierujących akcją ratowniczą. Ewa Turno stała pomiędzy dwoma dżentelmenami; wpatrzona tępo w ogień, potakiwała z zaciśniętymi kurczowo szczękami wywodom tęższego sąsiada, ale Rafał, stojący na uboczu był pewien, że niewiele rozumiała, co do niej mówiono w takiej chwili. A barczysty pan mówił właśnie:

– Nie rozumiem doprawdy, czemu się tak guzdrają. Natrę im uszu, co się zowie. Kiedy wsiadłem w auto, zaprzęgali już konie do beczkowszu. Całe szczęście, że kolega Rogers mnie ubiegł.

– A mój droga być długi więcej, mister Rojek – odparł szczupły dżentelmen, nie wyjmując fajki z zębów.

Ewę denerwowały niewypowiedziane nieszczerze kondolencje tych potężnych sąsiadów oraz ich usłużność w ratowaniu jej dobytku. Była głęboko przeświadczona, że w duchu radowali się z jej nieszczęścia, mogącego przyspieszyć upragniony dla nich moment jej bankructwa i licytacyjnej sprzedaży Borów. Tylko dlatego straż pożarna z szybów Rojka tak się dziwnie guzdrała i tylko dlatego Rogers pierwszy przybieżał, by zakasować rywala, a zaskarbić sobie wdzięczność dziewczyny. Różnymi drogami dążyli do tego samego celu i, udając współczucie, pragnęli gorąco, by budynki folwarczne Borów spłonęły do ostatniego. O tak! Byle tylko ziemia została. Byle zagarnąć tę ziemię i ryć w niej cuchnące, brudne szyby na gruzach stuletniego parku, na gruzach odbudowanego dworu.

Niemal jednocześnie z ochotniczą strażą zakładów Rojka nadjechał chłopską podwodą komendant posterunku w Rozłące, a wraz z nim czterech policjantów. O ugaszeniu stodoły i sterty nie było już mowy, wyłożono więc wszelkie siły w tym kierunku, by ogień nie przetrząsnął się na sąsiednie zabudowania, co przy wzmagającym się wietrze, było zupełnie możliwe. Akcję ratowniczą utrudniał brak wody. Małe stawki obok czworaków, miejsce towarzyskich spotkań kaczek i gęsi, wypompowano niemal do dna, do rzeki było zbyt daleko, więc dwa beczkowozы z Rozłaki, miały stanowić rezerwę. Ilekroć płonący wiecheć słomy opadł na dach spichlerza lub obory, pompy szły w ruch i skąpy natrysk cennej wody tłumiał niebezpieczeństwo w zarodku. Trzeci beczkowóz już próżny wysłano do rzeki, a konie rwały z kopyta, przerażone rykiem komendanta posterunku.

Stary policjant pinił się z wściekłości. – Utrapienie z tym dworem – narzekał, rozpamiętując etapy swych niefortunnych łowów na „ducha”, a teraz znów pożar. I nie zwyczajny pożar od pioruna, czy z nieostrożności, ale podpalenie. Może nie? A te resztki zwęglonego lontu, które sam znalazł pod okapem drugiej stodoły, to co? Komendant z Rozłaki miłował spokój nade wszystko. Rozumiał, że nie wszyscy ludzie są święci, że może się przytrafić kradzież polna, no, niechby i domowa, że się ludziska urzną i pobiją, ale grubszych „kawałków” nie cierpiał. Z rozrzewnieniem wspominał ów ranek, kiedy idąc brzegiem rzeki, ujrzał napuchłe ciało topielca; zepchnął je łagodnie na wodę i popłynęło sobie w rejon komendanta sąsiedniego posterunku, który, o ile nie był równie dowcipny, miał ciężką orkę z protokołami, z sekcją zwłok, z dochodzeniem, z komisją sądowo-lekarską, z podwodami i pogrzebem. No, tak. Ale wyekspeduj tu „ducha” do rejonu kolegi-sąsiada, ale zataj taką zbrodnię, jak podpalenie. Ani mowy nie ma! Po prostu pech!

Rafał Królik obserwował uważnie bohaterów swej czarnej listy. Wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Rojek dyskutował nadal z Rogersem, Andrzej Barski, w kostiumie strażaka lazył w ogień z brawurą, jakby jakieś bezcenne skarby spoczywały w dogorywającej, pustej stodole. Kochaut aż zachrył od komenderowania ogłupiałymi fornalami, dwójga imion Gładyszówna mogła być z powodzeniem zastąpić pełny beczkowóz, tyle że ciepło nieustannie z jej przerażonych oczu, zaś Jan Priwim wyglądał jak Niobe, skamieniała z bólu po stracie swej licznej progenitury.

– Tyle dobytku z dymem – powtarzał, kiwając głową ponuro. Ocknął się z zadumy dopiero wtedy, gdy dwaj przemysłowcy, pogodzeni już snadź, bo uśmiechnięci i częstujący się cygarem, podeszli tak blisko, że przysłonili mu ogień.

Rafał obserwował tę trójkę bardzo troskliwie i zrobił spostrzeżenie, które go zadziwiło niemało. Oto z oczu Priwima wystrzelił płomień śmiertelnej nienawiści, a twarz, zaczerwieniona od krwawych blasków pożaru, wykrzywiła mu się w grymasie bezsilnej wściekłości i upodobniła się przedziwnie do mordy podrażnionego buldoga. – Ale którego on tak „kocha”? – zastanowił się Rafał, podchodząc nieznacznie w tę stronę. Niestety, za późno. Dwaj panowie już odwrócili się frontem do Priwima już zarzucili go pytaniami o Augusta Turnę, a niedawny buldog przeobraził się nagle w mruczącą z zadowolenia kotkę; łasił się, składał, jak scyzoryk, odpowiadając uprzejmie na liczne pytania naftowych „szejków”, a miodowy uśmiech zatarł mu ze szczeniem zwykłą ponurość gęby.

Obserwacje Rafała przerwał ostry pisk niewieści.

– Gore!... Dwór gore!... tam patrzcie... dach!

Zabeczana Amalia Pelagia dostrzegła to, co wszyscy przeoczyli. Oto ostrzejszy snadź podmuch wiatru przeniósł nad głowami zebranych mały snopek słomy, który spadł na kryty papą dach domu mieszkalnego i dopiero tam rozgorzał jasnym płomieniem.

– Beczkowóz! – huknął Andrzej Barski; pochwycawszy leżącą nie opodal drabinkę, popędził z nią w górę, w stronę dworu, a za nim garść ochotników, skorych do ratowania, ale niekarnych i hałaśliwych. Komendant posterunku ujął własnoręcznie lejce koni od pierwszego

beczkowozu, podciął je batem, gdy dopadł doń z boku Marcin Rogalik, stróż nocny i dworski kowal w jednej, zaspanej osobie.

– Nie trza, panie komendancie. Tam mamy dużą beczkę z deszczówką. – Trzech fornali, uzbrojonych w wiadra kopnęło się w tamtą stronę na wyścigi, aby w obecności dziedziczki okazać swą gorliwość lecz wszystkich wyprzedził Rafał Królik!

– Precz! – zapiał takim głosem, że wszystkie spojrzenia przyciągnął ku sobie, niby magnes opiłki żelaza. Wyrwał pierwszemu chłopu jego wiaderko i jął nim wymachiwać straszliwego młyńca, broniąc innym dostępu do rzekomej deszczówki. Andrzej Barski skoczył w sukurs ochotnikom. Odepchnąwszy Rafała, zanurzył inne wiadro w beczce, krzycząc równocześnie w stronę komendanta, by unieszkodliwił szaleńca, utrudniającego akcję ratowniczą.

– Precz! – wrzeszczał dalej Rafał, schwycony mocno za kołnierz, przez przedstawiciela porządku publicznego. – Spalicie cały dwór, osły! To nie woda... to benzyna!

Barski wstępował właśnie na pierwszy szczebel drabiny, szczytem opartej o okap, kiedy zabrzmiał ten okrzyk. Odruchowo pochylił twarz nad niesionym przed się wiadrem i odskoczył z okrzykiem grozy. Ten człowiek mówił prawdę. W beczce, przeznaczonej na deszczówkę, była istotnie benzyna. Ścierpł na myśl, że gdyby nie ten okrzyk ostrzegawczy, byłby chlusnął wiadrem benzyny na ogień. Ale ocknął się szybko z wrażenia; podał wiadro jednemu z posterunkowych, a sam pospieszył na dach, zepchnął na ziemię płonący snopek, zdeptał ostatni ślad ognia i pozostał na tej placówce, przewidując, iż wiatr może więcej takich gorejących pocisków tu przynieść ze sterty słomy.

Komendant posterunku stwierdził osobiście, jaką to niebezpieczną ciecz zawiera beczka, splunął z obrzydzeniem po sumiennej analizie, polecił nakryć ów zbiornik łatwopalnego płynu, postawił przy nim jednego ze swych podwładnych, z surowym przykazaniem, by nikogo z papierosem na dziesięć kroków nie dopuścił, a potem, mrużąc oczy z nieopisaną złośliwością, zagadnął Rafała tymi słowami:

– Kto pan jest i skąd mu było wiadome, że to benzyna, a nie woda?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI